ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Czerwca | Nr 22. | Roku 1844.

ZAMBECCARI,

NIEUSTRASZONY ŻEGLARZ NAPOWIETRZNY.

Hrabia Zambeccari z Bononii, poświęcił całe swoje życie sztuce napowietrznéj żeglugi. Zajęty jedynie myślą jakby wynalazek balonów do praktycznego użycia zastosować, szukał dniem i nocą sposobu, za pomocą którego mógłby się balon oprzéć wiatrom i tak sobą dać powodować, iżby nietylko do zamierzonéj wzniósł się wysokości, lecz i wszelki kierunek w swoim locie przybiérał.

Gdy już hrabia Zambeccari u kresu swych życzeń stanął i ulubioną swą sztukę za dostatecznie wydoskonaloną osądził, ogłosił na dzień 7. października 1803. pierwszą swą napowietrzną podróż, przyrzekając czynić wszystkie próby w obec zgromadzonéj publiczności. Na ten cel sprowadził z sobą na oznaczone miejsce dwa balony i kazał napełnić jeden palném a drugi przerzedzoném powietrzem. Dla zapobieżenia zaś wszelkiemu niebezpieczeństwu explozyi, idąc za radą profesora Saladiniego, rozporządził, aby obadwa balony mocną śiecią powléczono, i tylko je w dwóch trzecich częściach napełniono. Balon rozdęty palnym gazem miał utrzymywać machinę w równowadze, i zawisał powyżéj drugiego balonu, który w kształcie przewróconéj głowy cukru, za pomocą ognia napełniony, służył głównie na to, aby stosownie do rozmaitego prądu powietrza, w zamierzonym kierunku podróży wznosił albo zniżał machinę. Galeryja — miejsce, gdzie się sternik miał znajdować, — była wprawdzie bardzo lekko, lecz zarazem tak mocno zbudowana, iż się w tym względzie żadnego niebezpieczeństwa obawiać nie należało. Po-nad galeryją były horyzontalnie dwa wiosła przymocowane, a obok żagiel trójkątny. Wewnątrz galeryi znajdowały się różne instrumenta i inne przybory dla czynienia na wysokości postrzeżeń nad szybkością lotu, temperaturą i t. d.

Około północy dnia wyznaczonego, Zambeccari w towarzystwie doktora Grassetti z Rzymu i uczonego Andreolego z Ankony, którzy tę podróż z nim odbyć przedsięwzięli, w obecności blizko piętnastu tysięcy niecierpliwych widzów, wsiadł do galeryi i zaczął się w górę wznosić. Najprzód zrobił kilka doświadczeń za pomocą wioseł, wzniósł się w górę i znowu spuścił na dół, stosując się w tém do poleceń, jakie na ten koniec zgromadzona komisyja mu zadawała; nareszcie po pięciu minutach zniknął z-przed oczu publiczności, i udał się z pomyślnym wiatrem w swoję podróż do Medyjolanu.

Podczas gdy w Bononii o naszych napowietrznych żeglarzach różne wieści biegały, i wszyscy o nich w niespokojności byli, nadeszła z Wenecyi niespodziana wiadomość, iż w Rovigno zawinął okręt, którego osada jednozgodnie wyznała: że w nocy z 7. na 8. października postrzegła nad zatoką Quarne ognistą, gwałtownym wiatrem pędzoną kulę, przed którą zaledwie podwojonémi żaglami z wielką trudnością ujść podołała. Dopisek tegoż samego listu donosi: iż w téjże chwili przysłano tamże z miasteczka Pola barkę po doktora Borchi do trzech chorych, którzy wyjechawszy w nocy z Bononii, w morze wpadli i ledwie za pomocą pobliskiego okrętu ocaleni zostali. Ta wiadomość wszystkich trwogą przejęła, lękano się bowiem, czy się aeronautom jakie nieszczęście nie wydarzyło, a tymczasem nadeszły od

nichże samych listy z Wenecyi, dokąd ich po nieszczęśliwym przypadku zawieziono.

Zambeccari, który dla odmrożonych rąk sam pisać nie mógł, opowiada w tych listach: Gdy owéj nocy stracili już Bononiję z oczu, zaczął się gaz palny kłębami wydobywać; ubytek ten pozwalał im wnosić, iż się wkrótce na ziemię dostaną, jednakże złamanie jednego wiosła przeszkodziło im dokonać tego zamiaru; tak tedy zaczęły się balony znowu wznosić, co się z taką działo szybkością, że się nagle, jakby czarodziejską mocą w nadzwyczaj zimnéj strefie znajdowali, gdzie im najdotkliwsze zimno już nie dozwoliło, podług Magellana sporządzonego barometru użyć do oznaczenia wysokości. Zambeccari uczuł w sobie do wymiotów skłonność, dr. Grassetti zaś miał niezwykle trudny oddech, i obaj byli tak twardym snem zmorzeni, iż jakby nieżywi na podłogę galeryi padli, i o nic się więcéj już nie troszczyli. Byłoto podobne zjawisko, jakiego wszyscy inni napowietrzni żeglarze w trzechmilowéj wysokości doznawali. Andreoli, który sam jeden czuł się jeszcze silnym i nie spał, zbudził Zambeccarego, który natychmiast powstał i stan barometru opatrzył. Z powyższych jednakże przyczyn, jak i dla tego, że woskowa świéca zgasła, nie mógł się nic pewnego dowiedzieć. Lecz w tymże czasie Andreoli i on usłyszeli nagle jakiś szum na dole i domyślili się z przestrachem iż to był szum bałwanów morskich. Zambeccari wziął się natychmiast do zapalenia lampy; lecz fosforowe zapałki okazały się na ten koniec bez żadnego użytku. Ucieczono się więc do krzesiwa, i powiodło się nareszcie zapalić wielką lampę. Ale balony już coraz bardziéj upadały; już widać było morze! Dla ulekszenia balonów, schylił się Zambeccari po worek z piaskiem, aby go w morze rzucił, ale już cała machina rwącym pędem w wodę runęła a wzruszone tém uderzeniem bałwany morskie, do wysokości pięciu stóp się podniosły. Działo się to o wpół do trzeciéj godziny po północy. Mieli wszakże jeszcze dość przytomności umysłu by sobie zaradzili w tém niebezpieczeństwie. Wyrzucili co prędzéj resztę balastu i wszystkie instrumenta z galeryi w wodę, a ulekszywszy w ten sposób machinę, zostali natychmiast nad wodę uniesieni i znowu w górę ulecieli. Tego drugiego lotu nie zdołali już wcale opisać; to tylko przytaczają: iż mimo najgłośniejszego krzyczenia, nie mogli się wzajem ani słyszéć ani rozumiéć, co może być dowodem, jak zrzedzone musiało być powietrze, w które teraz wzlecieli. Suknie ich były grubą skorupą lodu powleczone. Przebywszy trzy warstwy obłoków, ujrzeli niebo czyste i bez żadnéj chmurki. Księżyc wydawał się krwawoczerwonym, a Andreolemu puściła się krew z nosa. Już była trzecia godzina, gdy balony dla ciągłego ubywania gazu znowu spadać zaczęły. Tą razą jednak spadanie działo się bardzo powoli. Ale wkrótce znajdowała się galeryja znowu na wodzie, a tutaj nie pozostawał im już inny sposób, jak tylko dać się pędzić gwałtownemu zachodniemu wiatrowi, który jakby w rozparte żagle dął szalenie w balony. Wnet znajdowali się po pas w wodzie, wnet byli znowu niesieni po wierzch wody, i tak spełna pięć godzin walczyli ze śmiercią, aż ich wreszcie około 8 godziny z-rana, na wybrzeżach Istryi, w obliczu portu Veruda, łodzie dwu okrętów wyratowały i o półtory mili od miasta Pola na stały ląd wysadziły. Po ustąpieniu wyratowanych aeronautów z galeryi, podniosły się znowu balony z największą szybkością w górę, w kilku minutach zniknęły za górami wyspy Osero, i do dziś dnia żadnéj po sobie wieści nie zostawiły. Na pół zamarznięci i chorzy przybyli nieszczęśliwi napowietrzni żeglarze do miasta Pola, gdzie cztéry dni zabawiwszy, potém do Wenecyi odpłynęli. Zostali wprawdzie po kilku tygodniach wyleczeni, lecz kilka palców u nóg i rąk — nazawsze postradali.

Chociaż ta piérwsza napowietrzna podróż tak nieszczęśliwie wypadła, nie dał się Zambeccari tém odstraszyć i tyle miał odwagi, iż w następnym roku drugą podróż przedsięwziął. Tą razą miał jeden tylko balon temu zamiarowi wystarczyć, a ciężar całéj machiny, wraz z dwoma żeglarzami, Zambeccarim i Andreolim — trzeci nie chciał już należyć do téj wyprawy — wynosił 850 bonońskich funtów. W nocy z dnia 21. na 22. sierpnia 1804. rozpoczęły się przygotowania.

Rano o 6. godzinie oznajmiły trzy działowe wystrzały, iż amfiteatr, gdzie się miał wznieść balon, jest otwarty. Nie tylko miejsca zajęte za biletami, ale i wszystkie równiny i pagórki były ciekawym ludem przepełnione. O jedenastej godzinie śród natężonego oczekiwania widzów, wsiadł Zambeccari z swoim wiernym towarzyszem Andreolim do balonowéj łodzi.

Naprzód robili niektóre próby. Doświadczali ruchu wioseł, które ku powszechnemu zdziwieniu zdołały skierować balon ku ziemi. Ujęto machinie ciężaru, i w téjże chwili zaczęła się chyżéj wznosić; dwie zapalone świéce sprawiły tenże sam skutek. Dodanie ciężaru i zgaszenie świéc, wstrzymywało lot balonu. Wszystkie te doświadczenia powiodły się najpomyślniéj. Nareszcie zapalili żeglarze 8 świéc, uwolnili balon z powrozu, którym dotąd był jeszcze przymocowany, i wznieśli się szczęśliwie w powietrze.

Sześć działowych wystrzałów zapowiedziało ich wzlecenie. Ruch napowietrznego okrętu był tak łagodny i regularny, iż obaj żeglarze mogli odpowiadać na radośne okrzyki ludu; lecz wkrótce zniknęli w zachodnio-północnéj stronie z-przed oczu publiczności.

O piérwszéj godzinie po południu ulatał balon nad miasteczkiem Capo d'Argine o 6 mil od Bononii, na drodze ku Ferrara. A że dwom tylko ludziom za trudno było czynić stosowne postrzeżenia i mieć nieustanną baczność na barometer, termometer, magnesową igłę, a osobliwie na ogień, który musiał być ciągle w równéj sile utrzymowany, przeto postanowił znużony Zambeccari spuścić się na dół. Przy téj operacyi okazała się najlepiéj podatność machiny w przyjmowaniu wszelkiego kierunku. Najprzód zniżył się balon i leciał po-nad jakieś moczary, które się żeglarzom z-razu ryżowémi łanami być zdawały. Lecz tu nie chcieli żeglarze wylądować, zapalili dwie nowe świéce, a balon wzniosłszy się wyżéj, ominął z największą łatwością moczary i zaczął o 200 kroków od poczty na pole spadać. Już byli żeglarze wyrzucili powróz z kotwicą, już się była kotwica gałęzi drzewa uchwyciła, już zgromadzeni tłumnie z okolic mieszkańcy powitali radośnémi okrzyki śmiałych podróżników — gdy oto u pożądanego kresu spotkał ich nieprzewidziany przypadek. Przez zaczepienie się kotwicy o gałąź drzewa, łódź się tak mocno wstrzęsła, że lampa wewnątrz będąca przechybnęła, a większa część spirytusu wylała się na podłogę, i w jednéj chwili cała galeryja w ogniu stanęła. Tym okropnym przypadkiem przelęknieni aeronauci, nie byli w stanie powiększyć siłę wznoszenia się machiny, przezco takowa spadając coraz niżéj, nareszcie o ziemię runęła. Przez to mocne uderzenie wszystko się w łodzi z swego miejsca poruszyło, a płomień ogarnął baryłkę, w któréj się 30 funtów spirytusu znajdowało, i w oka mgnieniu cała ta masa jasném płomieniem się zajęła. Przezco ulekszywszy się machina, dzikim pędem w górę wzleciała.

W tém niebezpieczeństwie zostający Zambeccari, chcąc się od płomieni ochronić, wylał sobie flaszę wody na głowę; Andreoli zaś chcąc się spuścić spieszno po powrozie kotwicy, spadł na drzewo, a z drzewa na ziemię. Przez ten wypadek jeszcze bardziéj ulekszyła się machina, i tém gwałtowniéj — mimo to, że ją wielu z przybyłych w pomoc wieśniaków za powróz od kotwicy wstrzymywało — w powietrze się parła. Nawet gałąź, o którą kotwica zahaczyła, oderwała się od drzewa i wraz z balonem w górę uleciała. Długo tak leciał balon i coraz malał w wysokości; widziano jeszcze Zambeccarego, jak się z ognia ostrząsał. Nakoniec zniknął w wschodnio-północnéj stronie; — to wszystko stało się w trzech minutach.

Gwałtowny prąd wiatru uniósł ten napowietrzny okręt ku adryjatyckiemu morzu. Widziano go jeszcze w różnych miejscach, lecz tak wysoko, że go nie można było rozpoznać, a wszyscy to niezwyczajne zjawisko za nowy meteor mieli. Nareszcie zaczął się balon przecież zniżać i spadł w odległości 25 angielskich mil w morze.

Tu byłby już tonący Zambeccari niechybnie śmierć znalazł, gdyby się na szczęście jego, nie były zjawiły rybackie czółna, które nieszczęśliwego od zguby wyratowały. Chciano oraz i balon ocalić, lecz ten pozbywszy się ciężaru przez ustąpienie Zambeccarego z łodzi, chyżym pędem znowu

w powietrze uleciał i wkrótce na zawsze zaginął.

Odtąd minęło lat kilka bez wieści o Zambeccarim. Cały świat mniemał, iż odstraszony takiém podwójném nieszczęściem, nie zechce już więcéj zajmować się tym zdradliwym przedmiotem. Lecz było przeciwnie: jego niezmordowany duch rozmyślał nieustannie nad wynalezieniem sposobu kierowania balonem. Polepszył wszystkie swoje machiny i udał się w roku 1808 do Wiédnia, aby tam, zdala od morza, nową napowietrzną podróż przedsięwziąć. Jednakże z powodu różnych okoliczności, musiał zaniechać tego zamiaru. Powrócił więc do swego rodzinnego miasta, a tu po cztéru latach ogłosił swą trzecią podróż.

Uleciał i tym razem szczęśliwie w górę, lecz zanadto szybki pęd, z jakim się balon wznosił, uderzył go z taką siłą o bliską kościelną wieżę, iż cała galeryja się zgruchotała, a nieustraszony żeglarz padł natychmiast trupem na ziemię!

Zdaje się, iż samo przeznaczenie wybrało Zambeccarego, aby się stał ofiarą dla umiejętności!

WIĘZIEŃ.

Byłoto 17. stycznia r. 1820. wieczór; zimny dészcz padał od samego rana, a wschodowy ostry wiatr miotał nim po pustych gościńcach i zginał aż do ziemi cyprysowe drzewa, które stały przed domem pani H. o pół mili od Tulonu.

W wytwornéj sypialni, któréj okna wychodziły na ogród, siedziała młoda gospodyni w dużém poręczowém krześle i przysłuchiwała się burzy, która się coraz mocniéj srożyła. »Co za burza!« pomyślała sobie Ludwika. »Biédny Adolf! On teraz właśnie na morzu! Mój Boże, zlituj się nad nim;« rzekła westchnąwszy młoda kobiéta i złożyła ręce do modlitwy, podczas gdy wichr nanowo okropnie zawył po dolinie. Ludwika zadzwoniła, a młoda dziewczyna weszła.

»Mój mąż w tak straszną zawierzuchę nie powróci zapewne dziś wieczór; zwłaszcza że już teraz bramy miasta zamknięte; powiédz Józefowi, niech wszystko starannie pozamyka, zwoła w dom psy z podwórza, a ty przyjdź mnie rozebrać.« Pokojówka wypełniwszy rozkazy, powróciła. Ludwika rozebrała się i położyła do łóżka. »Zaświeć lampę i postaw ją na kominku, a mnie daj świécę tu na stolik przed łóżko; będę trochę czytała.«

Pokojówka urządziwszy to wszystko, wyszła, i zamknęła drzwi za sobą. W téjże chwili tak gwałtowna rozsrożyła się burza, iż cały dom zatrząsł się od jéj straszliwego pędu. »Ach, mój Boże, cóż tam się dzieje z moim biédnym Adolfem!« westchnęła młoda kobiéta, i oparłszy się na łokciu, przysłuchiwała się z coraz większą trwogą rozhukanéj burzy. Rzęsiste łzy potoczyły jéj się po licu, a wtedy rzekła: »O, ja nierozsądna! Jamto sama wyprawiła go na morze! Ach, jakże przykre bywa pełnienie powinności! Wszechmocny Boże ratuj go, albo i mnie z nim razem odbierz życie!« W najżywszéj niespokojności wyskoczyła Ludwika z łóżka, pobiegła do biurka i wyjąwszy z niego portrecik, uklękła przed łóżkiem. Z zakrytą rękoma twarzą i w głos płacząc, modliła się długo z ową gorącą rzewnością, która koi najsroższe cierpienia. Nagle otwarło się z trzaskiem okno a wiatr zgasił świécę. W piérwszym przestrachu przytuliła Ludwika głowę do pościeli, lecz wkrótce opamiętawszy się wstała i poszła zamknąć okno. Śmiertelny przestrach ją obleciał gdy odchylając firankę spostrzegła jakiegoś mężczyznę stojącego u okna w pokoju. Niema i martwa wpatrzyła się w niespodzianego przybysza, który nie zważając na nią bynajmniéj, przystąpił ku łóżku, wziął zgaszoną świécę, i zaświécił ją od lampy. Teraz dopiéro ujrzała Ludwika z największym przestrachem, iż ten nieznajomy mężczyzna, *był więźniem galerowym!*

Okropne uczucie które ją na ten widok przejęło, wróciło jéj przytomność; przypomniała sobie, iż była prawie nagą; chciała zawołać na sługi, lecz głos jéj ustał w piersiach; chciała odejść, lecz siły ją opuściły; padła zemdlona. Gdy przyszła do siebie, ujrzała się leżącą na dywanie i starannie w jeden ze swoich dużych szalów owiniętą, ale ten obcy, straszny mężczyzna, był dotąd jeszcze w pokoju. Otrzéźwił ją wodą kolońską i znowu flaszeczkę na kominku postawił.

»Pani,« rzekł teraz do niéj; »uspokój się; nie zrobię ci nic złego, ale nie zdradź mnie ani krzykiem ani ruchem. Potrzebuję schronienia do jutra wieczór, i sądziłem, iż najbezpieczniejsze znajdę u małżonki dowódzcy twierdzy K., gdzie mnie zapewne żaden dozorca więźniów szukać nie będzie. Mogę panią zapewnić, iż nie jestem złodziejem ani rabusiem. Zabiłem tylko kobiétę. Nie drzyj pani! Ta kobiéta zdradziła mnie, a zdrada tylko krwią się płaci.« Ludwika rzuciła drżące spojrzenie na strasznego nieznajomego: byłto młody, przystojny mężczyzna, oko jego jasne, twarz wyrazu pełna, a choć miał na sobie czerwony kaftan więźniów galerowych, jego postawa okazywała piękny skład ciała. Ten widok uspokoił nieco Ludwikę; staranność, z jaką ją szalem owinał, skromne oddalenie, w jakiém teraz zostawał, gdy już jego pomocy nie potrzebowała; wszystko to umniejszało jéj trwogę i ośmieliło ją wreszcie do przemówienia: »O, mój panie, zlituj się nad nieszczęśliwą kobiétą. Nie zdradzę go, ale jakże mogę sama, w tak późnéj dobie, i jutro przez cały dzień, ukrywać go w moim pokoju; jeźli mój mąż nadjedzie?«

»Pani, wszystko to łatwo, jeżeli tylko zechcesz, a tém łatwiéj, jeżeli mi zaufasz. Wierzę, iż mój ubior i sposób, w jaki się tu dostałem, nie wzbudzają wielkiego zaufania; lecz konieczność nie zna grzeczności! Uciekłem dzisiaj wieczór z więzienia i tutaj prosto przyszedłem. Chciałem się ukryć w roślinarni, ale mi szczekanie psów nie dozwoliło; przelazłem tedy ogrodowe sztakiety i skryłem się za żaluzijami przy twojém oknie pani, chociaż schowek ten nie był bardzo przyjemny. Pani to ani na myśl przyjść mogło, aby ktoś ukryty u jéj okna, przypatrywał się jéj twarzy i wyczytał w niéj tę dobroć serca, która mnie zwierzyć jéj moje niebezpieczeństwo ośmieliła. Długo się wahałem, ale widząc, jakeś pani, zapewne za oryginałem tego portreciku —« tu podniósł miniaturę, która Ludwice była z rąk wypadła, »jakeś pani rzewnie do Boga się modliła, pomyślałem sobie: kobiéta która się *modli i kocha*, nie może być okrutną. i wtedyto dopiéro odważyłem się wejść oknem do tego pokoju.«

Ludwika nie mogła temu wierzyć: aby z *bagno* mógł jaki człowiek wyjść szlachetny i jak anioł czysty, dla tego zadrżała widząc swoją tajemnicę przez takiego człowieka odkrytą; uczucie jednak obrażonéj godności wróciło jéj odwagę. »Mój panie,« odpowiedziała z pogardliwém spojrzeniem, »nadużywasz mojego położenia w sposób, który we mnie żadnego zaufania do twéj delikatności wzbudzić nie może...«

»Mylisz się pani; obrażać ją nie miałem wcale zamiaru, i owszem daję ci w porękę moje zaufanie za twoje. Milczenie moje zapewni mię o twojém. Niechcę widzieć nawet tego portreciku, ale jestem pewien, iż on przedstawia rysy synowca męża twojego pani, pięknego porucznika z okrętu *Circe*, Adolfa de B. I cóż? — Nie rumień się pani; nie żyłem ja zawsze w *bagno*, byłem na świecie i mogłem wiedzieć.... lecz dajmy temu pokój! Zezwalasz-że pani nato, abym tu został do jutrzejszego wieczora? Wnijdę do tego pokoju, a pani tymczasem udaj się na spoczynek; poczém wszakże pozwól mi znowu tu wrócić i osuszyć moję garderobę przy ogniu tego kominka.« To mówiąc otworzył drzwi do pokoju pana K., podeszłego małżonka młodéj Ludwiki i zniknął.

Po odejściu nieznajomego zdawało się Ludwice, jakby się z okropnego snu przebudziła. Wszystko co zaszło, miała za marzenie, lecz lekki szelest w przyległym pokoju, przekonał ją o rzeczywistości.

Piérwszém jéj staraniem było ubrać się spiesznie i zebrać zmysły, a że już nie mogła pozbyć się swego gościa, i niechciała go wydać w ręce sprawiedliwości, więc otworzyła drzwi do pokoju swojego męża i rzekła: »Przeziąbłeś pan i przemókłeś; mogę panu dać niektóre suknie mojego męża. Tu jest bielizna, zrzuć pan swoje i spal odzież więzienną.« Te słowa przekonały więźnia, iż Ludwika daje mu obronę i zgubić go nie zamyśla. Podziękował jéj serdecznie i skoro Ludwika odeszła, pospieszył odmienić ubranie.

Gdy po chwili wszedł do jéj pokoju, Ludwika ledwie go poznać mogła. Nie miał już na sobie téj obrzydłéj czerwonéj szaty, nie wyglądał tak srogo, spojrzenia jego były miłe i łagodne.

»Teraz nałóż pan więcéj drewek, rozpal wielki ogień i spal swoje rzeczy!« rzekła do nieznajomego, który złożył jakiś pakiet na ziemi przy kominku.

»Bardzo to dobrze,« odrzekł tenże, »lecz cóż z tém zrobię — i potrącił nogą pakiet, z którego się żelazna kula potoczyła, jaką więźnie galerowi zwykle u nóg dźwigają.

»Wrzucę ją jutro na spacerze w morze!« odpowiedziała.

»Nie, pani — chcę tę kulę zachować dla siebie;« rzekł nieznajomy, »i powierzam ją na czas niejaki — tobie pani.«

Ten dowód zaufania nie bardzo pochlebił Ludwice, więc zamilkła w odpowiedź.

»Zezwalasz-że pani?« mówił nieznajomy daléj.

»Czyliż nie muszę?« odparła młoda mężatka z westchnieniem.

»Uspokój się pani — przyjdzie czas, że tę kulę każę odebrać. Użyj teraz pani spoczynku, jéj pokój do ubiérania będzie na ten raz mojém więzieniem. Byleś tylko pani swego postanowienia nie zmieniła, i nie dała mi z głodu umrzéć. Połóż się pani spać. Jéj pokojowa nie powinna ją czuwającą zastać. Dobranoc pani!« To rzekłszy wziął ją ze zgrabném ugrzecznieniem za rękę i pocałowawszy wszedł do przybocznego pokoju.

Młoda, znużona mężatka położyła się do łóżka i rozmyślając o téj magnetycznéj sile, jaką ten nieznajomy działał na nią, wkrótce usnęła.

Dobrze już na dzień było, gdy się nazajutrz przebudziła. Mąż jéj wrócił już z miasta, gdzie powszechnie o ucieczce galerowego więźnia mówiono. »Jestto syn jednego wielkiego urzędnika przy dworze królewskim,« mówił do żony. »Słychać nawet... lecz to wszystko nie dowiedzione, bo nie był pod swojém własném nazwiskiem na galery skazany. Oskarzono go o zabójstwo jakiejś dziewczyny. Miał znakomitego rywala.... dosyć, że wczoraj wieczór uciekł. Dziś rano dano znak z armaty, zatknięto czarną chorągiew i zapewne go znajdą, jeźli na morze nie umknął.«

Można sobie wyobrazić, co Ludwika podczas tych słów uczuwała!

Przez dzień cały była w nieustannéj obawie. Nareszcie wypadło mężowi znowu oddalić się z domu. Z nadejściem nocy, mogła już Ludwika uwolnić swojego więźnia.

»Teraz nadszedł czas opuścić panią;« rzekł nieznajomy. »O północy oczekuje mię przyjaciel z extrapocztą w wąwozie koło Ollioules. Pozwól się pani przeprosić za ten przestrach, którego byłem przyczyną. Ocaliłaś mi życie i z życiem tylko ustanie wdzięczność moja! Bądź mi pani zdrowa, a jeźli kiedy znowu się obaczymy — co niezawodnie nastąpi — mam nadzieję oświadczyć pani publicznie moję wdzięczność. Żegnam panią. Proszę o rękę.« — Ludwika nie wzbroniła mu ręki, obcy przycisnął ją z wdzięcznością do serca, pocałował z uszanowaniem i wyszedł przez okno. Nim jeszcze na dół zeskoczył, obrócił się ku niéj i pokazując haftowaną chustkę, rzekł: »Nie szukaj pani téj chustki. Zbrodzień ją ukradł na wieczną pamiątkę!« To wymówiwszy przyparł żaluzyje — i zniknął.

Dnia 17. stycznia, roku następującego, otrzymała Ludwika pudełeczko z bardzo ładnemi i kosztownémi rzeczami, i przez lat kilka powtarzał się ten sam dar tegoż samego dnia.

Po niejakim czasie został małżonek Ludwiki powołany na wyższy stopień i udał się z Ludwiką do Paryża. Adolf powrócił już z podróży, lecz nic mu o téj dziwnéj przygodzie nie mówiła.

Raz na balu u księżny Berry, bawiło się kilka osób z-dala od gwaru w odosobnionym pokoju. Mąż Ludwiki miał do mówienia z jakąś dostojną osobą, i zaprowadził swoję żonę do jednéj z przyjaciółek, a sam wrócił na salę, gdzie tańczono. Za okazaniem się Ludwiki, obrócił się jakiś pan stojący przy kominku i wstrząsł się cały. Ludwika spojrzała na niego, i przypomniała sobie, że gdzieś te iskrzące oczy i to szérokie czoło już widziała, nie wiedząc jednak z pewnością, kto jéj się tak przypomniał; aż oto jeden z gości zaczął opowiadać: że zna pewną damę, która sobie dała wyjąć zęby, aby je darować przy ślubie swojemu kochankowi. »Ja zaś,« ozwał się ów wydający się tak znajomym Ludwice — »ja wiém kogoś, co dał żelazną kulę, którę w *bagno* dźwigał, za jedwabną chusteczkę pewnéj damie, która mu jest więcéj niż kochanką, bo mu honor ocaliła.«

Ludwika spojrzała raz jeszcze na nieznajomego. Nie było już wątpliwości — byłto ów zbrodzień, ale kilka orderów błyszczało na jego piersi, nazywano go hrabią, był przy dworze, a przecież Ludwika nie mogła wątpić, iż to był jéj więzień. Zapytała przyjaciółkę o nazwisko jego. »Jestto hrabia ***,« odrzekła zapytana, »został mianowany niedawno ambasadorem w ***.«

Nazajutrz odebrała Ludwika bilet, w którym ją proszono o zwrócenie owéj rzeczy, którą jéj dano do schowania niedaleko od Tulonu. Daléj opiéwał bilet, iż ten, co go pisze, opuści Francyję, ale się jeszcze raz z nią obaczy. Przyrzekł jéj niewidomą obronę i wstawianie się za wszystkiem, co jéj drogie. Te ostatnie słowa były podkreślone. W kilka dni poźniéj, otrzymał synowiec męża Ludwiki, pochlebne pismo od ministra marynarki a oraz mianowanie go kapitanem okrętowym. Ona sama doznała opieki swego niewidomego przyjaciela, bo nie wiedząc nawet zkąd, otrzymowała wszystko, o co tylko prosiła.

Długo nie Ludwika o hrabiu *** nie słyszała. Po roku jednak zeszła się z nim aż w Indyjach, dokąd swemu mężowi towarzyszyła. Tutaj dopiero dowiedziała się historyi więźnia z Tulonu.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 22. i obejmuje: 1) Najpewniejszy sposób aby głuchy owies *(avena fatua)* z pól wyplenić. Przez Budinera. 2) Jeszcze kilka słów o utrzymywaniu rogacizny i owiec przez lato na stajni. (Dokończenie.) 3) Lekarstwo na

martwą kostkę u koni. 4) O mało używanem u nas nasiekiwaniu kamieni młyńskich. (Z ryciną na tablicy II.) 5) O ulu wynalazku P. J. Prokopowicza i ulu przewiewnym poprawnym Nutta. (Z ryciną.) 6) Przepis jak robić krzyżacki atrament, wypisany z aktów ratusza toruńskiego, przez księdza jezuitę Lichtańskiego.

Sejm po ciemku. Gdy pewnego razu w Polsce za panowania Władysława IV., ostatni dzień sejmu prędzéj upłynął, nim jeszcze można było zgodzić się na ostateczną uchwałę, nie chciał król zezwolić aby się zgromadzenie rozeszło. Było wszakże dawne prawo, które dla zapobieżenia zbyt długiemu trwaniu posiedzeń i wynikającemu ztąd unużeniu umysłów, zakazywało wyraźnie obradować przy oświetleniu. Pozostali więc wszyscy na swoich miejscach po ciemku — i można było tak widziéć, czegoby żadna najbujniejsza wyobraźnia wymyśléć nie odważyła się — cały senat i sejm spiący na swoich krzesłach — pod przewodnictwem króla śpiącego na swoim tronie. *R.*

Sulerzyccy. Byli ci Sulerzyccy, rodem z województwa rawskiego, wszyscy jeden w drugiego dorodni i zawołani zuchterowie. Jeden z nich, Jędrzej, człowiek zuchwały i gwałtowny, mając już na sobie kilka kondemnat, postanowił co bądź to bądź utrzymać się deputatem na trybunale piotrkowskim w r. 1752. Jakoż gdy się przy odbieraniu, przysięgi deputackiéj w kościele niejaki Młodzianowski odezwał przeciw niemu z kondemnatami, Sulerzycki z partyją swoją rzucił się do szabli, zrobił zamieszanie w kościele, zrąbał Młodzianowskiego ledwie nie na śmierć i przyjaciół jego rozprószył. Uprzątnąwszy tym sposobem przeszkodę, zmusił Zarębę, sędziego ziemskiego sieradzkiego, do dyktowania sobie roty przysięgi, i położywszy jednę rękę na Ukrzyżowanym, w drugiéj trzymając szablę okrwawioną, przysiągł na świętą sprawiedliwość! Tak utrzymawszy się deputatem, poszedł z drugimi na ratusz i wotował na marszałka, którym tego trybunału stanął Karwicki rejent koronny, pan nie wielki, ale powagę prawa utrzymać umiejący. Otóż ten sam Karwicki kazał nazajutrz pochwycić zasadzką Sulerzyckiego — który już dnia trzeciego został wyrokiem marszałkowskim ścięty w więzieniu przy pochodniach. — Gdy tenże Karwicki jednego razu w Białymstoku u hetmana wielkiego Branickiego siedział przy stole, Leon Sulerzycki, najmłodszy brat straconego w Piotrkowic Jędrzeja, podtenczas pokojowiec hetmański, obyczajem owych czasów, służąc z talérzem do stołu, pchnął się nożem w rękę i natoczywszy krwi na farfurkę, podał ją Karwickiemu mówiąc: »Naści Karwicki, nasyć się krwi naszéj!« — Za co hetman porwanemu pokojowcowi kazał wyliczyć — sto batogów. *K.*

Młodziejowski i Rousseau. Osławionej w dziejach pamięci kanclerz Młodziejowski podróżując za granicą w towarzystwie Przyłuskiego, zapragnął poznać Jana Jakóba Rousseau. Oznajmują filozofowi że dwu Polaków chce go odwidzić. Wybiega na spotkanie. Odwidzający oświadcza swe grzeczności, swe imię i tytuły, powiada: że jest kanclerzem Młodziejowskim. Filozof wzgardą na to imię przejęty — »Widziałeś mię« — rzecze — »z przodu, teraz patrz na mnie z tyłu;« odwrócił się i odszedł.

Nowości z Paryża. Jak wiadomo odbędzie się tego lata wielka wystawa przemysłowa w Paryżu. Urządzono w tym celu wielki tymczasowy budynek, który blisko milijon franków kosztuje i w maju ze złożonémi tamże skarbami otworzonym zostanie. Słychać już o niektórych osobliwościach, jakie mają zwrócić najbardziej uwagę publiczności, a pomiędzy temi jest wiele istotnie nowych rzeczy. I tak wystawił pewien fabrykant fortepiany, na których grająca osoba widzi kiedy jaka struna jest rozstrojona, i sam temu rozstrojeniu natychmiast zaradzić może. Inny fabrykant wymyślił dla dam źwierciadła, w których się podług upodobania z przodu lub z profilu widziéć mogą — i oczywiście *widziéć się zawsze ładnémi.* — Mussle, które dotąd bywały do damskich strojów rznięte przez umyślnych artystów w Rzymie, będą teraz niezrównanie pięknie rznięte na maszynie znajdującej się także na wystawie, i staną się przeto w krótce zarówno tanie, jak fabrykowane dyjamenty, smaragdy i rubiny, jakich Paryż w takiej doskonałości dostarcza, a które rozeznać od prawdziwych jest bardzo trudno. Oprócz tego będzie jeszcze wystawiony nowo fabrykowany szyldkret — z *galarety,* która tę jednę tylko ma niedogodność, iż ją trzeba chronić od wody, gdyż w zimnej wodzie mocno pęcnieje a w ciepłej zupełnie się rozchodzi, — Sztuka przyrządzania nieprzemakalnych materyi doszła do takiego stopnia doskonałości, że mamy teraz nietylko nieprzemakalne sukna, ale także nieprzemakalne tule, nieprzemakalne blondyny, a niebawem obaczymy zapewne damy z parasolkami z nieprzemakalnych koronek. Nie brak także i dziwactw; tak na przykład, wystawił ktoś wanny do kąpania — koni; ktoś inny obraz, przedstawiający scenę z rewolucyi lipcowéj, zszyty z samych małych kawałków sukna; a trzeci, wielkie złocone krzesło, z samych rogów jelenich w ich naturalnej formie i wielkości.

Nowe przykłady jasnowidzenia. Z Brzegu, na Szlazku, donoszą pod dniem 6. maja: Homeopatyczny lekarz dr. Sauerman ogłosił przeszłego tygodnia w obudwu tutejszych dziennikach następujące, ciekawe zdarzenie: W połowie lutego r. b. zachorował tu pewien 17letni młodzieiec na tyfus mózgowy, i został w niezwykle prędkim czasie wyleczony. Dopiéro we dwa tygodnie po zupełnem ustaniu wszelkich symptomatów pomienionéj choroby, doznał pacyjent bez wszelkiego poprzedniego powodu, nowych cierpień nerwowych. Cierpienia te objawiały się w mocnem drżeniu członków i lękliwości, która się do tego stopnia wzmogła, iż jakiś mocny stuk na podwórzu wprawił młodzieńca w nagłe, jednak z przytomnością połączone konwulsyje, w skutek których utracił najprzód władzę mówienia a po kilku dniach i wszelką władzę wzroku i słuchu. Przez ten cały czas zachował pacyjent najdoskonalszą przytomność umysłu. Zdawał się tylko być ciągle mrzącym, oznajmiał swoje potrzeby poruszeniem rąk i niektóremi głosami, i załamywał czasem ręce w oznakę swoich boleści. Stan ten trwał bez żadnéj znacznéj odmiany przez kilka tygodni, aż w końcu za poradą pewnego doświadczonego lekarza z B. postanowił dr. Sauermann użyć zwierzęcego magnetyzmu ku poparciu środków lekarskich. Rozpoczął tedy w początkach kwietnia swoję magnetyczną kuracyję, i już piątego dnia okazały się piérwsze symptomata pojawiającego się jasnowidzenia. Najprzód oznaczył pacyjent rachowaniem na palcach i wskazaniem na usta — dzień 14. kwietnia jako termin, kiedy mu wróci mowa. Jakoż w istocie zaczął rano, tego z takiem upragnieniem oczekiwanego dnia, śpiewać donośnym głosem nabożną pieśń: »O, ktoż wysłowi miłosierdzie boże!« przyczem wzniósł obie ręce ku niebu. Następnie mówił bardzo rozsądnie o swéj słabości, i uwiadomił wszystkich jak najpewniéj, iż dnia 26. kwietnia o 3. godzinie po południu, odzyska władzę wzroku, mowę zaś dopiero 4. maja; od 14. bowiem kwietnia mówił wprawdzie bardzo wyraźnie, ale tylko w czasie jasnowidzenia; zre-

sztą nie zdołał wyrzec słowa. Dnia 26. kwietnia, nastąpiła zgodnie z uczynioną przed kilkunastą dniami przepowiednią, owa chwila, gdy pacyjent ku niewymownej radości całéj rodziny i lekarza — przejrzał i piérwszemi łzami uciechy i wdzięczności się zalał.« — Inny osobliwszy przykład jasnowidzenia przytacza francuzki dziennik *Globe*. Jasnowidzącą osobą jest tu znajomy paryzkiemu światu »młody Alexis.« Na zgromadzeniu u margrabiny de St. Mars podał mu Wiktor Hugo zapieczętowaną paczkę, w któréj samym środku znajdowało się jedno tylko wielkiemi głoskami wytłoczone słowo. Obejrzawszy jasnowidzący tę paczkę na wszystkie strony, wygłoskował: *p-o-l-i*, i rzekł: »Następującej głoski nie widzę dobrze, dalsze jednak poznaję znowu wyraźnie, sąto: *t-q-u-e*; ośm głosek; nie, nie, jest ich dziewięć, a między niemi *t* — *politique*; a całe słowo jest na jasno zielonym papierze wytłoczone. Wykroił je pan Hugo z broszury, którą teraz w jego domu widzę.« I tak téż istotnie było.— Podobne doświadczenia odbywały się jeszcze częściéj a zawsze z tym samym pomyślnym skutkiem. Tak na przykład u pana Karola Ledru, w obecności lorda Brougham, grał Alexis z zawiązanemi oczyma w karty i czytał wyrazy zakryte kilką arkuszami papiéru. Któryto ostatni experyment odjął lordowi wszelką wątpliwość w to nadzwyczajne zjawisko. Zapytał jasnowidzącego, pokazując mu swoją ściśniętą dłoń: »Jakie słowo mam w téj ręce?« — »Chester;« odrzekł Alexis. — »Możesz mi pan wymienić,« pytała mistress Dawson Damer — »com wychodząc z domu zostawiła w stoliku do gry, na salonie?« — »Tak jest, medalionik.« — »A co się w nim znajduje?« — »Włosy.« — »Czyje?« — »Napoleona, Wellingtona, i jeszcze kogoś trzeciego, którego imienia nazwać nie mogę, lecz wiém że umarł przed Napoleonem, i był Anglikiem, żeglarzem.« — Byłyto włosy Nelsona. — W kilka dni poźniéj pokazał lord Jocelyn młodemu Alexis starannie owinięty pokrowczyk; natychmiast wyrzekł Alexis, iż zawiéra jedną tylko rzecz, która jest czerwona i z dalekich krajów. Byłto w samej rzeczy kawałek koralu, wyrznięty w kształcie trupiéj głowy.

W s z y s c y   w i e l c y   l u d z i e   m a j ą   s w o j e   s ł a b o ś c i i chcą dziwnym sposobem być najczęściéj sławionymi za biegłość w jakiejś sztuce, która bynajmniéj sławy im nie zjednała. Tak na przykład, był Frydryk II. dumniejszy ze swego grania na flecie, niż z swoich wygranych bitew; wielki rzeźbiarz Kanowa miał się za daleko większego malarza; Michał Anioł i Salvator pysznili się swémi wiérszami; sławny malarz David lekceważył malarstwo i wolał uchodzić za biegłego polityka i wirtuoza na skrzypcach; téj saméj słabości ulegał i humorysta Sterne; Cervantes przenosił swoje liche komedyje nad swego niezrównanego Don Kiszota, podobnie jak Lafontaine swoje dramy nad swoje bajki. Voltaire lubiał wprawdzie być chwalonym jako poeta, lecz nierównie bardziej jako fizyk i astronom; Gretry był daleko więcej zarozumiałym na swoje filozoficzne rozprawy niż na swoją muzykę; Béranger przypisywał daleko większą wartość swym historycznym pracom, niż swoim spiewkom, które są dotąd w ustach całego ludu Francyi. Bajron cieszył się bardziéj swoją zręcznością w pływaniu, jeżdżeniu na koniu i strzelaniu, niż całym swoim poetycznym jenijuszem, a Chateaubriand ceni swoje drobne poezyje wyżéj niż swoje tak uwielbiane dzieła. Alexander Dumas ma się za piérwszego kaligrafa pod słońcem, a Wiktor Hugo, ów sławiony, hardy, piérwszy poeta Francyi, jak go dziś nazywają, przykłada wprawdzie także nie małą wartość do swoich pisem, lecz bynajmniéj nie tyle, ile do swoich rysunków piórem, które mają być najgorsze w świecie.

N a j s t r a s z n i e j s z a   a r m i j a. W wojsku portugalskiém używana jest dotąd osobliwsza komenda. Po hasłach jako: »D o   n o g i   b r o ń!« »N a   r a m i ę   b r o ń!« i t. p. następuje jeszcze jedno, które każe: »N a s t r ó j   g r o ź n ą   m i n ę   n i e p r z y j a c i e l o w i! *(Cara fiera a l'ennemigo!)* Na tę komenderówkę marszczą brwi wszyscy żołnierze. Następnie komenderuje oficer: »S t r a s z n ą   m i n ę!« *(Muchissimo fiera)* i wykrzywia sam twarz niemiłosiernie. Żołnierze naśladują go jak mogą. — Widać więc iż w Portugalii ten żołnierz najwaleczniejszym, który jest najszkaradniejszym.

P e w i e n   h i p o k o n d r y k   z   F i l a d e l f i i już od lat kilku trapił różnémi urojeniami swoję familiję, nakoniec wmówił w siebie — że umarł. Lekarz, którego jednego poranku o świcie z największym pośpiechem przywołano, zastał go na łóżku rozciągniętego, z zamknionémi oczyma i z złożonémi w krzyż na piersiach rękoma. »No, jakże się wpan miéwasz?« zapytał go lekarz żartobliwie. »Jak się miéwam? Śmiészne pytanie do umarłego,« odrzekł hipokondryk słabym głosem. »Jakto do umarłego?« powtórzył lekarz. »Alboż nie widzisz wpan, że umarłem o piérwszéj godzinie po północy?« Lekarz wziął go za puls, pociągnął ręką z-lekka po czole, i rzekł smutnym głosem: »Zaiste, już skończył! Należy go ile możności jak najspieszniéj pochować. Tomaszu,« zawołał na służącego: »Idź co żywo po trumnę; twój pan był dobréj tuszy, nie będzie się mógł w tak ciepłéj porze długo utrzymać. Służący wykonał rozkaz. Na skinienie lekarza wszczął się płacz pośród familii chorego, położono go w trumnę, a orszak pogrzebowy na prędce zamówiony i z zamiarem lekarza obznajomiony, udał się wprost z trumną na smętarz. Niektórzy znajomi chorego, podobnież od lekarza namówieni, spotkali niby przypadkowo wspomniony orszak. »Cóżto, nasz biédny B... na prawdę umarł?« zapytał jeden z nich. »Tak jest,« odpowiedział lekarz z westchnieniem, »umarł o piérwszéj po północy.« — Szkoda, że nie o dwadzieścia lat piérwéj,« odezwał się drugi; »żył on tylko na zgryzotę i umartwienie rodziny i przyjaciół.« — »W saméj rzeczy,« odrzekł inny, »spotkało go to, na co dawno zasłużył.« — »Co za bezczelny osioł,« zawołał zniecierpliwiony umarły ze złości przewrócił się w trumnie. »Cieszę się mocno, że już raz skończył i całe miasto od waryjata uwolnił!« rzekł trzeci. »Byłto nieznośny głupiec, niepotrzebna machina na świecie.« Tu już brakło cierpliwości umarłemu, oderwał wieko od trumny, i wyskoczywszy zawołał: »O, wy niegodziwe łotry! Pokażę ja wam, że jeszcze żyję, i że wam pamiętnik na plecach waszych napisać w stanie jestem!« Stosownie do umowy, zaczęli przyjaciele uciekać, a umarły złorzecząc, gonić za nimi. Nakoniec przyniesiono go do domu całkiem potem oblanego, hipokondryja znikła, a chory wkrótce przy regularnéj dyjecie, przy agitacyi i wesołém towarzystwie, przyszedł do zupełnego zdrowia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.